Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny, mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

22. Kwietnia 1856. **№ 48.** **Rok trzeci.**

Sejmik w lesie.

Ciąg dalszy.

Ze zmianą usposobienia, milczenie i samotność ciężyć mnie zaczęły. Próbowałem więc gadatliwego Iwasia wprowadzić w rozmowę. Lecz w nim snać przeciwna zupełnie zaszła zmiana, bo nadaremnie go wyzywałem pytaniami. Mój Iwaś siedział jak mruk, i nawet potrzaskiwanie biczykiem nie było tak raźne jak pierwej, leniwo i melancholijnie odzywało się od czasu do czasu po coraz więcej pustej drodze, bo słońce już właśnie zaszło, i wieczorne cienie co raz ciemniejszych nabierały barw.

— Iwaś, czegóż tak milczysz? spytałem zniecierpliwiony.

— Zaspiewaj tę piosneczkę coś pierwej śpiewał! przemówiłem do niego, chcąc rozbudzić jego miłość własną. Zdało mi się, żem w dobrą trafił stronę, bo rzeczywiście Iwaś ozwał się, ale to nie był głos śpiewu! nie; Iwaś płakał.

— Ty płaczesz?.. zapytałem.

Iwaś odpowiedział głośniejszym jeszcze płaczem, w zawodzenie przechodzącym.

— Czegóż płaczesz? mówże...

— Bo ja się boję paniczu!...

— Czegóż się boisz?...

Iwaś nic nie odpowiedział, ale rozpaczliwie rękami powiódł w koło siebie. Długo trwało nim się dowiedziałem że on się boi, bo to noc nadchodzi, droga pusta, okolica i ludzie cudzi.

— Na co nam dalej jechać dzisiaj. Wróćmy paniczu do tamtej wioski, taj przenocujmy.

— Ot pleciesz, jeszcze nie późno, odpowiedziałem. Nie daleko już do Sambora, tam będziemy nocować. Za tym laskiem jak nam mówili.

— Toż to, że za laskiem, wymruknął Iwaś. Będzie noc nim w las wjedziemy, dodał i wstrząsł się ze strachu.

Z początku naśmiałem się serdecznie. Bojaźliwość Iwasia wydała mi się arcypocieszną, lecz pomału czy zaraźliwość strachu, czy zmienność młodych wrażeń, i mnie się rzeczy inaczej wydawać zaczęły. Ależ bo co raz było ciemniej, las zdawał się biedz ku nam, rozciągając swe ciemne, przepaściste skrzydła, któremi jakby olbrzymi niedoperz, tuż, tuż chce nas otulić. Śmiałem się sam z siebie, ale mi jakoś nie wesoło było.

— Paniczu! zaszepnął nagle Iwaś, zwracając się ku mnie. Patrzcie, tam! o tam, koło tych drzew. Paniczu, to już ostatnia godzina nasza. A ja nieszczęśliwy, ani mamy ani taty widzieć już nie będę.

Wypatrzyłem oczy, i chociaż nic jeszcze wyraźnie widzieć nie mogłem, zdało mi się rzeczywiście, że tam coś majaczeje między drzewami. Nie mogłem już utaić przed sobą, że zaczynałem bać się na piękne. A że strach ma wielkie oczy, zdało mi się nawet, że i konie, dzieląc nasze uczucie, naszczurzyły się i strzygą uszami w sposób nadzwyczaj znaczący.

— Panyczu, uciekajmy! zawołał pół głosem Iwaś.

Może bym i nie był od tego, ale już było za późno. Wjeżdżaliśmy już właśnie w ów straszny i ciemny las, i... to nie było już złudzenie! z za pierwszych drzew wysunęło się nagle trzy postacie, idące prosto ku nam, ku drodze.

— *Vox faucibus haesit*! przyszło mi na pamięć z gimnazyalnych studjów. Oba z Iwasiem nieśmieliśmy ani krzyknąć nawet; koniki tylko lekkim truchcikiem posuwali się dalej.

Jak te idące ku nam postacie na prawdę wyglądały, nie miałem z razu żadnego wyobrażenia. Wydały mi się tylko ogromnie wysokie, i mieć coś szczególnego w swych strojach kudłatych i zamaszystych.

— Stójcie!... zawołał jeden głos.

Tu już wątpić nie można było, że na nas naważyły te trzy postacie. Ale niebezpieczeństwo, jeżeli spodziewane, wzbudza strach przez samą niepewność; gdy już stanie przed oczy widome i namacalne prawie, rozbudza się odwaga. Tak się zemną przynajmniej stało.

— Cóż to znaczy? zawołałem głośno, i podniósłem się na wózku. Czego chcecie?...

Iwaś był zupełnie już zahukany strachem. Uważałem tylko, że się razy kilka przeżegnał ukradkiem. I w tej chwili dopiero rozpoznałem, że było to trzech mężczyzn, wysokiego wzrostu. Ubrani zaś byli w szerokie sieraczkowej barwy siermięgi, kapotowym krojem wyrobione, z pod których sterczały kożuchowe kołnierze. Na głowach mieli czapki zwykłe chłopskie z czarnych baranków, ale nadzwyczaj wysokie, odznaczające się szerokiemi fontaziami wstążkowemi. Twarze wydały mi się groźne, ogorzałe, złowrogiemi spojrzeniami łyskające. W rękach mieli zwykłe chłopskie laski. Wszystkie opowiadania, jakich się na naszych wieczernicach nasłuchałem o rabusiach i opryszkach, stanęły mi przed oczami. Czułem odwagę i chęć bronienia się, ale możności nie widziałem.

— Nie pojedziecie dalej!.. wyrzekł jeden chropawym głosem, i silną ręką porwał za cugle. Konie stanęły jak wryte.

— Jakiem prawem? zawołałem.

— A ty wiesz co o prawie? szyderczo zagadł drugi, i zbliżył się do wózka, zaczął mi się ciekawie bardzo przypatrywać, gdy tymczasem trzeci obszedłszy wózek po dru-

giej stanął stzonie, i bez wszelkiej żenady oparł się o wózek.

— Ja chcę jechać dalej, ozwałem się przybierając zuchwałą minę.

— Poczekaj trochę... ozwał się stojący przy koniach.

— Gdzie to jedziesz paniczu?.. zapytał drugi, co się tak we mnie wpatrywał.

— Do Sambora na noc, odrzekłem. Już późno, a wy ludzie!...

— I z kąd to jedziecie? zapytał trzeci.

— Z Jelitowiec, odpowiedziałem.

— Z Jelitowiec!... wykrzyknęli wszyscy trzej z wyrazem pewnego zadziwienia.

— Słyszycie panie Wołczko? rzekł jeden do drugiego przez wózek.

— To panicz nazywa się zapewne Jelita? pytał Wołczko, głosem, który wydał mi się więcej uprzejmy.

— Jan Jelita, odpowiedziałem.

— A czy z przedgrobelskich, czy z zagrobelskich.

— Z przedgrobelskich!...

— I do Sambora jedziecie!...

— Tylko na noc, ja jadę do Przemyśla, do seminarjum!...

— Na księdza, zawołał pan Wołczko, z przyciskiem prawie radośnym. Słyszycie panie Pyszniak.

— I wszyscy trzej popatrzyli na siebie pytającym wzrokiem. Jeden poskrobał się w głowę... Drugi coś niby mruknął.

— No no, wyrzekł pan Pyszniak, pojedziecie z nami.

— A ja nieszczęśliwy, zawył Iwaś, dzwoniąc zębami ze strachu.

— Milcz mudiu! krzyknął Wołczko, nie zjemy cię przecie.

— Ale... spróbowałem jeszcze zaprotestować.

— To nic nie pomoże, wyrzekł stanowczo pan Pyszniak, nakierujcie konie, panie Meleszkiewicz, dodał zwrócony do tego co konie trzymał.

Nie wiedziałem już co dalej robić, co powiedzieć, a nawet co pomyśleć, tak mi się to całe zdarzenie wydało nadzwyczajnem. Poddałem się więc w milczeniu losowi mojemu. Z Iwasiem jeszcze gorzej się działo, bo puściwszy lejce, wsunął się pod worek z obrokiem, na którym dotąd siedział, i tam w kłębek zwinięty, drżał jakby w febrze, pojękując od czasu do czasu. Pan Meleszkiewicz stosownie do polecenia nakierował konie na bok, gdy tymczasem pan Wołczko i pan Pyszniak skoczyli na wózek, i ulokowali się na wasążkach koło mnie. Zjechaliśmy z drogi zaraz, na jakąś drożynę ledwie odznaczoną, która szła w głąb najgęstszego lasu. I co raz ciaśniejsza była drożyna, którą pomału i w milczeniu posuwaliśmy się to w dół, to w górę, w las przepaścisty i wysoki. Milczeliśmy wszyscy, odzywało sie tylko skrzypienie wózka po nierównych kolejach i łamanie suchych gałęzi, po których przesuwały się koła; albo znowu czasem zaklapotała woda bagniny jakiej pod nogami końskiemi. Las był coraz gęstszy, i coraz się ciemniej robiło; a mnie coraz dziwaczniejsze biegały po głowie myśli Przypomniały mi się już nie tylko opowiadania o rozbójnikach i opryszkach, ale i wszystkie bajki o różnych dziwach nadprzyrodzonych, jakie tylko od nianiek i dziewek nasłuchałem się kiedy. Tak minęło blisko godzinę, aż wjechaliśmy wreszcie w jakiś dół przepaścisty, zarosły krzakami w około, i przebywszy bród jakiś, zaczęliśmy się drapać do góry. Izdało mi się że las stawał się coraz rzadszy i od czasu do czasu z poza drzew firanki łyskało coś czerwonego jakby odbłysk jakiego ogniska.

— No już dojeżdżamy, ozwał się jeden z siedzących koło mnie.

I po kilku chwilach wyjechaliśmy ze środka drzew na rodzaj polanki, rzuconej w środek lasu, jakby wyspa na morzu. Na środku polanki paliło się spore dosyć ognisko, koło którego, o ile dostrzedz mogłem, leżało lub snuło się kilka postaci ludzkich. Dalej nieco stał wóz, z którego konie do wasąga przyczepione wonne zajadały sianko; a na wozie na wielkim worku leżała brzuchem na dół postać jakaś, mocno otulona w ciemny kożuch.

— Otóż i nasi! zawołano przy ognisku i kilka postaci posunęło się ku nam. Wszyscy byli tak ubrani jak owi towarzysze, i wszystkie twarze mocno ogorzałe, miały jedno prawie i to samo piętno: jakiejś zuchwałej, o nic nie dbającej odwagi.

— I prowadzicie... zapytał nowy głos.

— A prowadzimy... odrzekli moi towarzysze.

— A kogóż to bóg dał? spytał inny głos przy samem ognisku, do którego zbliżaliśmy się, pojawił się pytający. Był to staruszek, miarkując po włosach jak śnieg białych, i po licznych na twarzy zmarszczkach. Ale trzymał się prosto. Mimo stroju na pół wieśniaczego, nie różniącego się w niczem od stroju drugich, chyba wyższą jeszcze czapką i grubszą laską, miał w twarzy i postawie coś nadzwyczaj poważnego, miłego, i znaczącego nawet. Dziwnie ładnie, jakby na obrazie, odbijała się ta twarz i postawa, opromieniona jaskrawem światłem, od ogniska bijącem. W koło niego skupiło się z piętnastu mężczyzn, czekając na przybycie nasze.

— Seminarzysta młody, panie Krzywdzic, odpowiedział jeden z moich towarzyszy na zapytanie starca.

— To dobrze! mruknął stary i posunął się ku mnie.

Przy pierwszym zaraz rozhoworze podniosła się głowa na wózku za ogniskiem, zabłysło dwoje oczów kocim prawdziwie blaskiem i zeskoczył z wozu, niewielkiego wzrostu, ale krępy i barczysty mężczyzna. Ubrany był jak drudzy prawie, i nawet porządniej może, bo kożuch był na nim nowy i wyszywany, i czapka także; ale postawą i twarzą różnił się mocno od drugich. W spojrzeniu, jak mi się dobrze z daleka wydało, miał coś kociego, czającego się, a na twarzy szerokiej, rozrosłej i bielszej od drugich, miał widoczne znamiona podłej i złośliwej natury. Zbliżył się ku nam, i oparłszy się na grubym kosturze, który trzymał w ręku, przysłuchiwał się rozmowie, a oczy tak mocno wlepił we mnie, jakby mnie chciał na wskróś niemi przebić. Ja zeskoczyłem z mego wózka, i zbliżyłem się do staruszka, który sympatyczne na mnie zrobił wrażenie.

— To szlachcic zapewne, zapytał stary.

— Przedgrobelski Jelita z Jelitowiec, zawołał jeden z moich towarzyszów.

— Syn Stanisława! a wnuk Jakóba, rzekłem.

— Jakóba? powtórzył starowina z miłym uśmiechem, i oparłszy się o kij przypatrował się mnie z wyrazem upodobania. Znałem pana Jakuba Jelitę, o znałem go dawno! dodał, i głos jego stał się żałośny; znałem ale w innych i lepszych czasach.

I zamarzył staruszek tak jakoś tęskno, że mi się aż łzy w oczach zakręciły.

— Jeżeli szlachcic, zakrzyknął krępy mężczyzna, to a go nie chcę, nie chcę.

— Jakto nie chcecie! zawołało kilka głosów groźno i hardo.

— O tak, bo nie chcę, już bym wolał pierwszego lepszego wójta, albo nawet i starego pana Krzywdzica.

— Albo żyda może!.. zakrzyknął inny głos, co chłop to bez żyda obejść się nie może.

— I szlachcic zagląda do żydowskiej komory.

— Panie Józefie, zawołał jeden. (C. d. n.)

Pielgrzymka Czajlda Harolda,

poema lorda Bajrona, spolszczone

przez Wiktora z Baworowa.

Ciąg dalszy.

Kto słucha dzisiaj tych dziwnych powieści,
A znał dawniej ten piękny, zacny ród niewieści,
I widział smukłą kibić, włos ujedwabiony,
Ciemne oko, błyszczące z pod ciemnej zasłony,
Słyszał głosu dźwięcznego harmonijne tony,
Nie wierzyłby cudownej i prawdziwej wieści,
Że krwawe Saragossy okopy widziały
Jak Hiszpanka dziewica [1]) hufiec niezliczony
Sama zebrała, powiodła do chwały,
I śmiała się ze śmierci, z jej oczu Gorgony!

Legnie w boju jej luby, nie roni łez wiele;
Dowódzca ciężko ranny, staje na wojsk czele;
Zbiegają z pola tchórze, zachodzi im drogę,
Wrogowie tył podają, podwaja ich trwogę.
Któż mężniej, czulej cieniom kochanka w ofierze
Gromi, zwycięża? Kogoż goretsza chęć bierze
Mścić się co prędzej naczelnika skonu?
Któż ożywia skuteczniej przygasłą nadzieję?
I któż nieprzyjacielską krew obficiej leje,
Gwałt zadając trwożnemu dziewiczemu łonu?

Przecież dzielne Hiszpanki, to nie amazonki:
Nie do wojny kształcone pieszczone ich członki!
Choć o męstwo w zawody z rycerzami idą,
Walczą dziś bronią grzmiącą jak przed lat dzidą,
Ich gniew jest tylko gniewem gołąbki, co dzióbie
Dłoń czychającą na jej oblubieńca,
Tęgość umysłu, prostota dziewczęca,
Ten wdzięk dwoisty w zaletnej ozdobie,
Stawi je wyżej słynnych niewiast gadatliwch,
Ich sąsiadek, mniej ładnych niż one, mniej tkliwych.

Dołki w twarzy, miłości utoczone ręką,
Świadczą jak płeć tych dziewic jest czułą i miękką;
Usta, gniazdo całusków, każą być walecznym,
Nim kogo uszczęśliwią tym datkiem serdecznym;
Wzrok dziki, o! jak piękny, gdy oświeca ciemnie,
I uwdzięcza twarz słodką, co słońce daremnie
Chce nieco przyćmić, twarz opromienioną,
Gdzie lilje kwitną, róże oddychają, płoną.
Kto pozna nieubogie we wdzięki Hiszpanki,
Za nic waży mdłe, blade północy mieszkanki.

Kraino wschodu! *) rozkoszy haremie!
Kędy opiewam pochwały piękności,
Rozsławiających iberyjską ziemię,
Powiedz, czy można równać tych niebiańskich gości
Z ofiarami zawistnych krat, z odaliskami,
Którym wzbronione jest wolne powietrze,
Z obawy by gach do nich nie przybył na wietrze?
Nie! źrenica twych dziewic źrenicy nie mami;
Hiszpania, to ojczyzna, tam jest raj proroka,
Tam przebywa huryska, boska, czarnoka.

Parnasie! **) ty którego postrzegam w tej chwili,
Nie marzyciela okiem, nie we snach natchnienia,
Ani w zmyślonym krajobrazie pienia,
Którem wieszcze przeszłości nam zmysły poili,
Ale mgłą owianego, i w śniegowej szacie,
Pod twem ojczystem niebem, w strasznym majestacie:
Nie dziw się, że ja pielgrzym, u twych stóp z granitu
Budzę echa twojego zamilkłe odgłosy
Do wtóru moim strónom, choć już z twego szczytu
Żadna dzisiaj nie wzlata Muza pod niebiosy.

Dumałem ja o tobie! ty, którego imie
Nam wygnańcom na ziemi wspomina o niebie.
A teraz gdy cię widzę, o biały olbrzymie,
Wstydzę się że nie umiem godnie wielbić ciebie.
Drzę cały, mimowolnie kolana uginam
Przed sławnym twych czcicieli plemieniem rodzimem;
Umilkam, głos podnoszę, znowu głos ucinam;
Gdy stojąc pod błękitnym twoim baldakimem,
Przypatruję się tobie, cichą czuję radość,
Że mym marzeniem stało się już zadość.

Szczęśliwy w tem nad innych, nad wielu zamkniętych
W dalekiej ziemi z nienawistną zgrają,
Zbliżyć się mogę do owych miejsc świętych,
O których tylom śni się, lubo ich nie znają.
Choć już swoje siedlisko opuścił Apolin,
I muz już więcej nie ma pośród pięknych dolin,
Kędy teraz mogiły, przecież w owej stronie
Jakowyś duch łagodny dotąd cicho wionie,
Milczy w grotach, westchnieniem wietrzyka się żali,
I ślizga się pieściwie po muzycznej fali.

[1]) Te są świetne czyny dziewicy z Saragossy. Podczas pobytu Bajrona w temże mieście, przechadzała się ona codziennie w Prado, ozdobiona orderami, które Junta jej przysądziła.

*) Ten ustęp był pisany w Turcyi.

**) Pisane w Kastri (Delfach) a podnoża Parnasu, który dziś zowie się Liakura.

Z wytkniętej drogi uniosło mię pienie,
Góra błogosławiono! nieść ci pozdrowienie.
Aby złożyć hołd winny, na chwilę przerwałem
Opiewane zalety kraju hiszpańskiego,
Jej synów, córek losy, drogie dla każdego,
Czyje serce wre świętym wolności zapałem!
Teraz rzucam twój smutny, wyludniony Eden;
Lecz moje serce prośbę jedyną zasyła:
Byś w upominku czystym chęciom dać raczyła
Z nieśmiertelnego drzewa Dafny listek jeden!

Nigdy, nawet i wówczas gdy kapłanka święta
Śpiewała hymn pityjski, od boga natchnięta,
Gdy owdowiała Grecja jeszcze była młodą,
Chór dziewic nie celował tak hożą urodą,
Nie tak zdolnym niebyło natchnąć wieszczów śpiewy,
Jak dzisiaj owe tkliwe Andaluzyi dziewy;
Wychowane na czułych i rzewnych obrazach!
Szkoda że ich ojczyzna, poraniona, krwawa,
Nie tak jak śliczna Grecja, choć wielkość i sława
Dziś odbiegły bezwładną, omdlałą w żelazach!

Nadobną jest Sewilla, choć poważna wiekiem, [1])
Jej moc się krzepi, jej powaby kwitną;
I Kadyks [2]) na wybrzeżu wznosząc się dalekiem,
Ma sławę równie głośną, lecz nie tak zaszczytną.
O grzechu! jakże silne są twoje zachęty!
Gdy kipi krew młodzieńcza, trudno zwalczyć narów
Twych skłonności, niesnadno ujść podstępnych czarów
I uroku ócz twoich, oddalić ponęty,
Hydro z anielską twarzą! ażeby się ostać,
Wedle smaku swych ofiar przemieniasz swą postać.

Gdy czas wywrócił Pafos, o wieczna zakało!
Bóstwo co światem włada, poddać się musiało
Uciechom lekkomyślnym, zabrakło haremu:
Wenera wierna morzu, rodzicowi swemu,
Jedynie jemu wierna, wówczas się przeniosła
Do Kadyksu, gdzie rządząc ludźmi po dawnemu,
Ustanawia swój obrząd, i już niejednemu
Ołtarzowi panuje: owszem tak urosła
W znaczenie, wziętość, chwałę, że nieustające
Ofiary jej sprawują kościołów tysiące.

Od świtu do wieczora, od zmroku do rana,
Panuje śmiech, swawola, aż się niebo wstydzi;
Śpiewa, wrzeszczy biesiada, rozpustą pijana,
Wstrzemięźliwością tam się każdy brzydzi;
Tam szalona zabawa, wynalazek nowy
Wygnały z murów miasta obyczaj surowy;
Choć ...... palą chmury obłudnych kadzideł,
Przecież jeden drugiemu nie przeszkadza wcale:
To do świętych obrazów, to do swych pieścideł,
Modlą się na przemiany w statecznym zapale.

[1]) Sewilla, jest to Hispalis Rzymian.

[2]) Kadyks, uroczy Kadyks, jest to najmilsze miejsce pod słońcem, ma piękne ulice i gmachy, a sławne z nadzwyczajnej uprzejmości mieszkańców. Jest to to istna Cytera, siedlisko najpiękniejszych kobiet Hiszpanek.

Nadchodzi święto; czemże przy niedzieli
Gród chrześciański bawi swych obywateli?
W tedy to uroczystość wielka ze snu budzi
Mieszkańców: czy słyszycie, jak ryknął król trzody?
Nadstawia rogu, parska nozdrzami na gody,
Kruszy oszczepy, i wietrzy krew ludzi,
Krew rumaków, chce toczyć bój do upadłego;
Niecierpliwa arena drży cała z radości:
Na widok świeżo wyprutych wnętrzności,
Nie znać w kobietach żalu nawet udanego.

Dzień siódmy, święty wszędzie, ma rozkosze swoje;
Londyn po nabożeństwie na zabawę spieszy.
Kupczyk, rzemieślnik wdziewa nowe stroje;
Miasto i okolice pełne tłumnej rzeszy.
Hampsted, Brentfort i Harro są celem przechadzki,
Miejsca miłych wycieczek, odwidzin lub schadzki.
To fiakry jednokone, to dwukolne gigi *)
Mijają się, w przedmieścia pędzą na wyścigi,
Aż niekiedy uwięznie w miejscu koń uparty,
Wywołując zazdrośne piechotników żarty.

Szaleje wszystko, wszystko po swojemu;
Ty, Kadyksie, uległeś szałowi sroższemu:
Gdy zabrzmi z dzwonów porannych dziewiąta,
Twych mieszkańców liczenie różańców zaprząta;
Wszyscy wznoszą modlitwy do Czystej Dziewicy,
(Jedynej pono czystej w całej okolicy)
Pełne gorącej skruchy i modłów gorących;
Bo tam jest grzechów tyle, ile jest modlących,
Poczem korne owieczki na cyrk hurmem biegą,
Stary, młody, ubogi, możny, do jednego.

Otwarto szranki, wolne walki pole,
Piętrzą się krocie ludu w jednem wielkiem kole.
W przód jeszcze za nim trąby najpierwszy znak dały,
Już widzem przepełniony amfiteatr cały,
Zasiedli grandy, pany, a najgęściej panie,
Uczone w zalotności, srogie nieco damy,
Ale zarazem skłonne zbyt dotkliwej ranie,
Zadanej przez nie same, nieść w odwet balsamy:
Z ich oziębłego wstrętu nikt nie umarł jeszcze,
Choć o tem lunatyki bają, albo wieszcze.

Już cichną gwary, wszczyna się bój srogi:
Z białemi kity, złotemi ostrogi,
Szarfami przepasani, z oszczepami w dłoniach,
Wjeżdżają Pikadory na dobranych koniach,
Jest ich czterech, choć nieraz w szalonych pogoniach,
Na oślep z samą śmiercią idą do zawodu,
Nagradzani są przecie zaszczytnie i czule:
Zyskują palmę z rajskiego ogrodu,
Jaką rzadko się chełpią bohatery, króle,
Kobiet uśmiechy i poklask narodu!

Matador lekki, pyszny bogatem odzieniem,
Stoi w pośrodku szranek, pieszym jest szermierzem,
Pała ochotą mierzyć się ze zwierzem;
Lecz wprzód ostrożną nogą i spojrzeniem

*) Rodzaj pojazdu w Anglii.

Obiega przestwór areny w obawie,
By nie doznał przeszkody w morderczej rozprawie:
W dłoni ma pocisk, walczy tylko zdala!
Zawsze się bowiem zapaśnicy strzegą,
Wprost na wroga nacierać bez konia wiernego,
Który padając sam, jeźdźca obala.

Trzykroć zawrzasła trąba, tłum widzów oniemia,
Już dano hasło, cisza śród natłoku:
Z za krat rozwartych, z ciemnego podziemia
Byk dziki na plac boju skoczył w jednym skoku;
Spoziera strasznie, nozdrzami wiatr chwyta,
W tem nagle stanął, w piasku wrył kopyta;
Nie pędzi ślepo na wroga, lecz w koło
Nim go zaczepi, wznosi groźnie czoło.
Bije się z gniewu ogonem po grzbiecie,
Wytrzeszcza oczy, wzrokiem iskry miecie.

Już chce się rzucić, z drogi mu, o z drogi,
Za oszczep chwytaj szalony młokosie:
Nogi cię roztratują, przebodą cię rogi;
Nie użyjeszli sztuki, twe życie na włosie.
Jeździec w sam czas się zwrócił na zwinnym dzianecie,
Byk przemknął mimo, ale ranny przecie;
Już toczy pianę, już posokę leje,
Zapędza się, okręca, z boleści szaleje;
Grad pocisków nań spada, biodra mu zakrwawia;
Ozwał się ryk okropny, boleścią przemawia.

Byk znów się wraca, wraca zemstą ślepy;
Za nic pociski, dziryty, oszczepy;
Choć jeździec koniem toczy, choć broń go zasłania,
Daremny opór, straszliwe spotkania!
Jeden rumak w pierś samą ugodzony z boku,
Pada trupem; a drugi, o straszny widoku!
Skroś rozpłatany, jelitami świeci,
Utraca życia źródło, już, już na łeb leci.
Choć sam rozdarty, choć śmiertelna rana,
Jeszcze od bliskiej zguby chciałby unieść pana.

Bez tchu nareszcie, rozjuszony, wściekły,
Staje w środku widowni byk znojem ociekły,
Skłuty, odłamanemi najeżon grotami,
Obsaczony obławą, której krwią się broczył.
Teraz Matadorowie już nań dybią sami:
Wieją czerwonym płaszczem; przeciwnik odskoczył,
I piorunem powraca: o biada, im biada
W tem płaszcz z ich ręku na oczy mu spada;
Buhaj, od niezwykłego przerażony blasku,
Zatacza się, już po nim, już runie na piasku.

Wtem gdzie mu z silnym karkiem grzbiet się łączy,
Pchnął go mieczem matador odważny i rączy:
Triumfalne okrzyki dokoła zabrzmiały;
Nie cofnął się byk dumny, lecz odwetu chciwy,
Podniósł się nieco i pada nieżywy,
Bez jęku, bez konania. Wtem wóz okazały
Zajeżdża na plac boju; wielka radość w gminie;
Dźwignięto trupa, ładują wóz ciałem,
Cztery konie go ciągną: już wóz pełnym cwałem
Z pobojowiska, śród oklasków, ginie. (C. d. n.)

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Urodzony Jan Dęboróg. Zostawiając na później ulotne wiersze i mniejsze gawędy Syrokomli, mówić będziemy o Janie Dęborogu, jako o samodzielnym jego utworze, w którym występuje już jasno osobistość poety. Treść tego poematu jest następująca: Urodzony Jan Dęboróg opowiada autorowi dzieje swego rodu, głowy i serca. Przodek Dęboroga, rotmistrz pancerny, jest w tej powieści ową tajemniczą osobistością, około której nawija cały wątek powieści. Jest to dalekie, niewyraźnie przebijające tło tego powieściowego obrazu, a w miarę jak to tło nabiera barwy i życia, uwydatniają się działające w nim postacie. Zachowuje się o nim w rodzinie Dęborogów tradycja, że zginął na Ukrainie, gdzieś na kresach, a ciało jego pochowane pod kopcem, rozgraniczającym posiadłości Dęborogów i Brochwiczów, zaprzysięgłych sobie nieprzyjaciół. Z kąd datuje się ta nienawiść sąsiedzka, o tem w rodzinach nigdy nie mówią. To stanowi tło powieści. Następuje działanie. Gdy Jan Dęboróg już sporo ciałem i duchem podniósł się, gdy ojciec, pan Paweł, sam o tem należycie się przekonał, bo Jasio począł go się to o tem to o owem wypytywać, począł myśleć o edukacji syna. Ale trudna to była rada. Jezuitów, alwara i dyscypliny już nie było, a pijarska nauka nie przypadała staremu do smaku. Zresztą i zasobów pieniężnych nie było, uradzono więc aby Jasia dać do plebana, księdza definitora, który o milę od wioski mieszkał. Lecz i w tem zrazu nie szło gładko! Ksiądz definitor dziwaczy i wymyśla na szlachtę, że pyszna i leniwa, i że pogardza niższemi. W końcu przedkłada staremu program nauki, a według niego będzie Jasio i w polu pracował i z czeladką jadał. Wręcz mu oświadcza:

Czy kto herb ma czy nie ma, braciaśmy po prostu.
Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
Chłopiśmy i parobki przed Bożem obliczem,
Nikt cię tutaj nie będzie nazywać paniczem!....

Co do nauki, ledwie ją pobierał śród pracy.

......tać to będzie cudnie,
Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
Posilając się sobie póki skwaru chwila,
Titire! *tu Patule*,.... tłumaczyć z Wirgila...

Daremnie opowiada stary dumny szlachcic anegdotę o Wojewodzie Trockim, który poliszukowi za to, że wyciągając go z błota, poważył się chwycić za szlachecką czuprynę, sto batów wyliczyć kazał, ksiądz definitor wytrwał przy swoim programie, a pan Paweł musiał w końcu ustąpić i Jasia na edukacją zostawił.

W dziejach ukształcenia młodego szlachcica poczynają się dzieje prawdziwie sielankowe. Następują obrazki wiejskie–

go patryarchalnego życia, świeże i wypieszczone, do jakich się nigdy nie wzniósł ani Wirgil ani Delil. Po roku takiej edukacji idzie do szkół publicznych. Poeta wyczerpuje tutaj prawie wszystkie barwy, aby przed oko czytelnika przysunąć kilka szczytnie naszkicowanych obrazków. Życie koleżeńskie, przyjaźń, nadzieje, wszystko to ma swoje świeże szaty, wszystko oddycha.

Wreszcie Jasio kończy nauki i wraca do ojca. Wielka uczoność syna zachwyca ojca. Teraz następuje kolej na ojca, aby edukacją syna ukończyć. Daje mu strzelbę i konia, uczy strzelać, polować i uganiać na rumaku. Pojętny syn w lot pojmuje naukę ojca i staje się zawołanym myśliwym.

Otoż stało się pewnego razu, (bo nieszczęście nie chodzi po lasach, ale po ludziach), że się zapędził aż pod dworek Brochwiczów. Tam pod topolą ujrzał coś czy kogoś, a serce jakoś mu mocno zapukało. Była to Zosia, jedynaczka Brochwiczowej. Jasio zaznajomił się, jak na szlachcica przystało, i począł w dworku co raz częściej bywać. Matka Zosi poznała o co tu chodzi, i przez usta Zosi wymawia mu dóm swój. Powodem tak srogiego wyroku jest rodowa nienawiść. Czule żegnają się kochankowie. Zrozpaczały młodzieniec błądzi aż do nocy, i trafia na kopiec graniczny, gdzie rotmistrz leży pochowany. Usiada i zasypia. Białe widmo, z raną na głowie staje przed nim, i woła: »*Redde, quod debes*«. Jan budzi się i wraca do domu, ale wraca chory, kładzie się i dostaje maligny. W gorączce odkrywa przed księdzem definitorem tajemnicę serca i opowiada sen swój straszny. Pan Paweł zmarszczył brwi na to opowiadanie, i wyznaje plebanowi, że kilka razy miał to samo widmo. Korzystając z jego usposobienia opowiada mu ksiądz pod postacią snu prawdziwą historją o rotmistrzu. Rotmistrz Dęboróg w niebytności Brochwicza zaorał mu dziesięć morgów pola, i nowe graniczne kopce usypał. Umierając na Ukrainie wyznaje to spowiednikowi i przekazuje synowi, aby zabrane ziemie Brochwiczowi oddał, a jego ciało pod kopcem dawnej granicy pochował. Skąpy syn nie uczynił tego, pochowawszy rotmistrza na fałszywej miedzy. Brochwicz procesował się długo, ale nadaremnie. Ztąd urosła ta rodowa, tradycyjna nienawiść. Tak mówił ksiądz definitor, a zmiękczony tem opowiadaniem pan Paweł, oddał zabraną, sąsiedzką ziemię, kopce przesypał a na prawdziwą miedzę przeniósł kości pokutującego antenata. Nienawiść rodowa kończy się zaślubieniem Jana Dęboroga z Zosią Brochwiczówną.

W epilogu do drugiego wydania dodaje jeszcze Syrokomla, że stary Dęboróg umarł oczyszczony z grzechów świętemi sakramentami:

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o Trockim wojwodzie...
I ten tylko grzech wziął z sobą na drugi świat, że:
Naprzykład wierzył mocno w katechizm jedyny,
Że szlachcic stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny..

Poeta prosi, aby mu ten grzech społeczny przebaczyć:

Przebaczmy starej głowie, przebaczmy tem szczerzej,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy!...

Mówi, że dzisiaj już nie ma w całej Litwie tej wiary Dęborogowej, że dzisiaj:

Obruszać się na szlachtę niemiałby sposobu,
Nawet ksiądz Definitor, gdyby powstał z grobu!..

. . . .

I mówi słusznie.

Poemat ten pod względem formy i wartości artystycznej nie stoi zbyt wysoko, chociaż ma wiele barw świeżych i wcale nowych. Jest tam wiele serca, wiele ładnych, po mistrzowsku ubranych myśli, ale brak mu wyższej architektury. Widać że Syrokomla polubił szlachecki, gawędowy sposób opowiadania, a byłoby to wielką jego zasługą, gdyby nie był naśladowcą.

Pol wniósł do poezji naszej gawędę, Krasiński mistyczne wieszczenie, Zaleski dumki, a ktokolwiek bądź później na ich nu'ę nastrajał, nigdy im nie wyrównał, tylko w tyle pozostał. Nie chcemy przeto powiedzieć, aby Syrokomli sił do dalszej drogi nie stało. Owszem ma on ich zbyt wiele, aby się nie dobił nowej formy, i nowych nie stworzył nam postaci. Jan Dęboróg, jest to ładny, milutki obrazek, jest to gawęda, jakiej się mile słucha przy kominku, lecz z ostatnim wierszem poety cichną rozbudzone struny serca, nie zostawiając w niem żadnego oddźwięku, któryby mógł nas nastroić do marzeń w przyszłość. W każdym obrazie chcemy widzieć miejsce działania, i o to co je otacza, a do uzupełnienia onegoż należy i perspektywa, czyli to, co się w głębokiej dali, lekko choć nie wyraźnie zakreśla. To powinien mieć zawsze i poeta na względzie.

(C. d. n).

Listy z nad Wisły.

I.

Dokończenie.

Kiedy piękna sztuka wąską tylko ścieżką przecieka po kraju, literatura ma doń szeroką drogę. Posłannictwo literatury (w ogóle wziąwszy) koincyduje niemal z celem i posłannictwem poezji, rozszerza promień światła, usposabia umysły do przyjęcia zasiewu tego, co szlachetne, wzniosłe, nieśmiertelnie piękne i wiecznie dobre, tem samem rozwija siłę moralną człowieka, podnosi do tej duchowej potęgi, która warunkuje znowu dobry byt, rozwinięcie się przemysłu i wyższy stopień pmyślności i sławy narodu.

Gdzie życie umysłowe wyżej podniesione, i więcej rozwinięte, tam i tegoż życia objawy bywają wyrazistsze i czystsze, słabe tętno tego życia u nas nie mówi korzystnie za nami, może się tym pocieszym że liczba utworów literackich nie daje tu podstawy do sądu; dzieło, które przez przeciąg czasu dwudziestoletni nie traci swej wartości, słusznie zrównoważy się z całą sumą dwudziestu książek, których cenę obecna daje chwila, jutrzejsza odbiera.

Drukarnie Krakowa w zeszłym roku wydały zaledwie kilka książek, ale wydały *Mohorta*, *Pola*, i *Przegląd dziejów literatury powszechnej* Lucjana Sieminskiego.

Wspomniawszy o tem ważnem dziele, którego rozbio-

rem, i zasłużonem ocenieniem zajęło się nasze pierwsze pióro (Kraszewskiego), postrzeżenie robię, że tu szczęśliwe natchnienie wiodło do wydania tegoż dzieła w chwili, kiedy Sofokles znalazł swych tłumaczy (Wolicki, Kaszewski, Małecki). Książka pana S. toruje jakoby drogę greckiej tragedji, czyni ją przystępną dla wszystkich i więcej zrozumiałą.

Jest to jakoby wzniesiony portyk dla posągu Sofoklesa, którego dziś podnoszą; równie stosowną była pora, którą wybrał znakomity nasz autor do rozszerzenia odcinku gazety w rozmiary miesięcznego pisma, pod nazwą *Dodatku do Czasu*. Jeżeli bowiem zapiszemy się na zdanie o panującej *apatji* moralnej, pismo, o którem mówimy będzie na dobie, przyczyni się do obudzenia więcej umysłowego życia; jeżeli twierdzeniu temu zaprzeczym, dogodzi moralnej potrzebie, bo naród nie ujęty w sen apatyczny, miewa szlachetne pragnienia, i pragnie tych zaspokojenia. W oboim wypadku nowe to pismo jest pożądanem i pożytecznem, i w porę przychodzi. Posiadamy trzy już tomy: pisma różnią się od ksiąg Sybilijskich w tem, że im mniej było owych ksiąg rzymskiej wieszczki, tem wyższą była ich cena i sława; tu przeciwnie: z każdą nowo-przybyłą książką podnosi się wartość, znaczenie i rozgłos wszystkich.(*) Ale z każdym miesiącem bogaci się w nowe imiona współpracowników, przy danych jak najkorzystniejszych warunkach pismo to krakowskie ma rękojmię trwałości, szanse powodzenia i dalszego rozwoju. Dostrzegamy tu umiejętną rękę, która prowadzi, uczucie artystyczne, które niem kieruje, podstawę pożyteczności, na której stoi; z owoców. jakie nam daje, poznajemy się z bogatym zasobem talentów i wiedzy, widzimy nareszcie, że mu przewodniczy myśl wyższa wydawców, znających całą ważność przedsięwziętego dzieła i pożytek moralny, jaki zawiązuje się dla ogółu czytających. Zaczem witamy je onem starem *Poszczęść Boże*, otwieramy serca i domy na przyjęcie gościa, który z oblicza poważny i miły, i nieobojętny. Wszakże to perjodyczne dzieło stanowić będzie obraz (niejako) obrabiającej się myśli w kraju, będzie typem, objawieniem się obecnego czasu, tegoż moralnych potrzeb, smaku, może i stopnia wykształcenia; więc i nasza próżność upomina się o swoje, rada, ażeby to świadectwo, jakie da książka o nas, dobrze nas polecało w domu i po za domem, przed bracią i przed obcemi.

Dodatek do Czasu znajduje się w ręku swych abonentów, czytany ciekawie i z zajęciem; możnaby ograniczyć się na przytoczeniu zawartych w nim artykułów; ale, żyjemy w czasach panowania chemii, na dworze czy w borze krytyczną retortę nosimy ze sobą. Z tąd pochodzi ta łatwa skłonność do rozbioru, czy to liścia trawy, czy sceny dramatycznej; gipsu czy książki. Jeżeli który ulegnie tej pokusie alchemicznej, snadno przewidzieć, że pierścień wężowy (krytyki) niebezpieczny dla słabych, dla naszego Laokona będzie tą przepaską, która go uwieńczy. *a....*

(*) Pierwszy zeszyt nie odpowiedział wymaganiom, dla tego zapewne, że były wysoko nastrojone; komu wiele dano, (mówi pismo) od tego żądają wiele. Wyraził się pewien, że tom styczniowy ma silne dwa skrzydła, które go wzniosły i dotrzymują w górze. *Poezja W: P:* i *Przegląd literatury pana S.*

Nowiny lwowskie.

* **Dr: Bakody'ego zakład organopatyczny.** Przed dwoma miesiącami dołączyliśmy do dziennika naszego program organopatyi, to jest nowego sposobu leczenia tych cierpień chronicznych, które przez zwykłe lekarstwa albo całkiem wyleczyć się nie dadzą, albo też tylko bardzo powoli i niepewnie. Ta metoda polega na właściwem zastosowaniu pewnych ruchów ciała, jak n. p. wyciągania, zginania, podnoszenia, zniżania, kręcenia, ciągnienia, naprężania, kołysania i t. p. Odbywającemu te ruchy podług planu przez lekarza wskazanego, i w miarę potrzeby od czasu do czasu modyfikowanego, dodany jest pomocnik wprawny. Tą metodą leczy u nas we Lwowie Dr. medycyny, Bakody, a ćwiczenia organopatyczne odbywają się w osobnej sali w domu pod Nrem 148 $^3/_4$ przy ulicy pojezuickiej, dla płci żeńskiej codziennie od godziny 11tej do 12$^1/_2$, a dla mężkiej od 12$^1/_2$ do 2giej, zawsze pod okiem tegoż lekarza. Chociaż leczenie to od niedawna u nas zaprowadzone, wiemy już o niejednym bardzo pomyślnym wypadku, a w ogólności możemy oddać świadectwo, że każdy po kilku tygodniach pilnej kuracyi, czuje, że jest na drodze pozbycia się swoich długotrwałych cierpień. Leczenie całe trwać musi około trzech miesięcy, a nawet i dłużej, mianowicie w tych słabościach chronicznych, które dłuższego czasu wymagają. Koszta za używanie sali, w której są rozliczne przyrządy do ćwiczeń organopatycznych, wynoszą w ogóle 20 złr. m. k. miesięcznie, w co wrachowane już honorarium dla lekarza i opłata pomocników dla płci mężkiej i pomocnic dla płci żeńskiej. Aby jednakże z tego sposobu leczenia, tak pomyślne wydającego skutki, a tem samem na jak największe u nas upowszechnienie zasługującego, korzystać także mogli i mniej zamożni, pragnęliśmy bardzo, aby cena ta mogła być wyjątkowo w szczególnych razach niższą; i z ukontentowaniem dowiadujemy się, że szlachetny nasz lekarz, względami ludzkości powodowany, i tę trudność usunął. Nie mamy dość słów do wyrażenia wdzięczności temu szanownemu mężowi, który przyswoiwszy sobie tę metodę w długiej podróży za granicę, da zbadania instytutów tego rodzaju odbytej, toruje u nas drogę do sposobu leczenia, mniej niż wszelkie inne uciążliwego, a bardzo zbawiennego.

* **Jarmark lwowski.** Już cesarz Józef II nadał miastu Lwowu przywilej na jarmark walny, nazwany ś. Agnieszki. Otoż nadanie to dotąd nie weszło w ciągłą praktykę. Dopiero tego roku odbędzie się walny jarmark ś. Agnieszki we Lwowie. Rozpocznie się dnia 20 czerwca a trwać będzie przez dni 14, aż do 4go lipca. Według ogłoszenia urzędowego przeznaczone są na targowicę: plac *Gołuchowskich* (przed teatrem, na krakowskiem) dla produktów surowych i półwyrobów; plac Ferdynanda dla towarów fabrycznych i kolonialnych; plac halicki i bernardyński dla koni i powozów; plac *Castrum* dla towarów drzewnych i garncarskich. Na jarmarku tym wolno będzie sprzedawać każdemu swoje towary, bądźto w sklepach, w budach, lub na stragach krytych lub niekrytych. Miasto Lwów z tych jarmarków odniesie korzyść znaczną, z czasem mogą one nabrać znaczenia wielkiego, osobliwie gdy stanie kolej do Lwowa; całej wschodniej Galicji drobni kupcy i mieszkańcy będą się mogli zaopatrywać w towary, a nawet z przyległych do Galicji ziem, kupcy zamiast jeździć do Lipska, powoli przyzwyczają się do zaopatrywania swych magazynów na jarmarku lwowskim. Od zręcznego pokierowania tą sprawą przez urząd miejski zależyć będzie aby przywilej, w tak szczęśliwy porę wydobyty przez Wysokie Namiestnictwo, zdziałał korzystne dla całego kraju skutki.

* Bardzo stosowny zakaz wyszedł w tych dniach z c. k. dyrekcji policji lwowskiej. Oto na górze Franciszka Józefa (piaskowej górze) zakazano powozom i konnym jeździć po drogach i ścieżkach, dla pieszych na przechadzkę przeznaczonych. Wolno im jedynie drogą główną wozową jeździć, i to tylko stępem, powoli. Odtąd nie będzie tego kurzu z pyłu piaskowego, który wznosił się chmurą nad temi pięknemi przechadzkami, i osiadał na płucach przechadzających się.

Przyjechali od dnia 18. do 21. Kwietnia do Lwowa.

PP. Rudolf Urbański z Dobrosina. Fran. Szymanowski z Spasowa. Józ. Jaworski z Korzelicy. Fran. Cywiński z Delejowa. Ferd. Godkowski z Czerniowic. Bonifacy Żędzianowski z Wiszenki. Wojc. Śliwiński z Dąbrowic. Hip. Czajkowski z Bobrki. Paweł Wajdowski z Barszczowic. Józ. Geringer z Krakowa. Teodor hr. Karnicki z Gródka. Jan Thullie z Wolicy. Edw. Lincbauer z Janowa.

PP. Józ. Klimowicz z Stanisławowa. Mich. Wiktorowicz z Głuchowa. Ant. Dytloff z Stanisławowa. Ign. Krzeczunowicz z Jaryczowa. Henr. Michałewski z Sokala. Piotr Dobrski z Radruża. Kasper Boczkowski z Wołowa. Alfred Młocki. Włod. Młocki z Łopatyna. Rafał Mierzyński z Baryłowa. Jul. Skolimowski z Dynisk. Lud. hr. Zabielski z Stryja. Nereusz Hoszowski z Biłki. Józ. Wysocki z Łopatyna. Antoni Skrzyński z Tarnopola. Mich. Barański z Radłowic. Lud. Skrzyński z Nozdrca. Fel. Krukowiecki z Myszkowiec.

PP. Szymon Oberski z Przemyślan. Wal. Wajgart z Jarosławia. Jan Wolański z Mościsk. Paw. Skwarczyński. Wło. Borkowskiz Krakowa. Jan Żurakowski z Zadurowa Nik. Kierski z Wozowy. Adam hr. Golejewski z Hryniowic. Alf. Wojczyński z Tuligłów. Józ. Mikołajewicz z Wązowy. Tyt. Kamiński z Ramska. Eug. Strzelecki z Wyrowa. Kajet. Pohorecki z Horpina.

Wyjechali od dnia 18. do 21. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Adolf Udrycki do Choronowa. Leop. Obertyński do Stronibab. Karol Wajdowski do Borszczowic. Kaj. Kęplicz do Kopeczyniec. Piotr i Anton Zawadzki do Probużna. Jul. hr. Dzieduszycki do Jarczowic. Włod hr. Dzieduszycki do Poturzyc. Teofil Gumowski do Brodów. Jan Matlachowski do Złoczowa. Henryk hr. Potocki Fran. Szawłowski do Dembicy. Sew. Dziokowski do Stryja. Tad. Skolimowski do Humieńca. Roman Puzyna do Gwoździeńca.

PP. Jan Solecki do Stanisławowa. Józef Klimkiewicz do Żółkwi. Michał Nikorowicz do Głuchowa. Bonifc. Żędzianowski do Wiszenki. Alex. br. Czechowicz do Pererowa. Wacław hr. Baworowski do Dembicy. Józ. Ulaniecki do Mościsk.

PP. Abdon Mijakowski do Złoczowa. Piotr Wasilewski do Uniowa. Józ. Jaworski do Kozielnic. Jan Tyszkowski do Kniaża. Jan Romaszkan do Dembicy. Stan. Thullie do Łowczy. Leon Solecki do Przemyśla. Teodor hr. Karnicki. Eustach Czarnecki do Warszawy. Antoni Sobieszczański do Dobrosina. Fran. hr. Komorowski do Łuczyc. Alex. hr. Czacki do Krechowa. Kaz. hr. Dzieduszycki do Niesłuchowa. Tytus Kielanowski do Kozłowa. Max. Bogdanowicz do Kulikowa. Konstanty Pietruski do Podhorodec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$101\frac{7}{8}$	Pożyczka 5% . . .	$85\frac{15}{16}$
Hamburg za 100 tal. branco	$74\frac{3}{4}$	Akcye banku	1129
Londyn za 1 funt szterl.	$10.2\frac{1}{2}$	Kolej północna . . .	$3012\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$102\frac{1}{4}$	Obl ind.	$78\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$108\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa .	$86\frac{1}{16}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	42	4	46
Dukat cesarski	4	45	4	48
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	84	15	84	45
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	78	—	78	30
5 proc. pożyczka narodowa	85	—	86	—
Śrebro	103	—	104	—

Lwów, 18. Kwietnia. Na dzisiejszem targu płacono:	po		do	
	złr.	kr	złr.	kr
Korzec pszenicy ozimej	10	—	12	6
« Zyta	6	24	8	36
« Jęczmienia	7	6	9	—
« Owsa	4	18	4	36
« Grochu	6	30	7	—
« Hreczki	6	48	7	12
« Ziemniaków	3	48	4	54
Sąg drzewa bukowego . . . , . . .	13	—	14	—
« Sosnowego	10	—	10	12
Cetnar siana	—	42	—	50
« słomy	—	30	—	43
Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty	—	—	—	—

Do dzisiejszego numeru dołączony jest **Dodatek** i uwiadomienie p. Buczyńskiego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.